

# Zofia Szmydtowa

---

## Ignacy Chrzanowski

---

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 1, 12-24

---

1966

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W dniu 12 grudnia 1966 r. Oddział Warszawski Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza zorganizował na terenie Uniwersytetu Warszawskiego piękny wieczór wspomnień związany z 100 rocznicą urodzin Profesora Ignacego Chrzanowskiego. Prelekcje wygłosili: prof. dr. Zofia Szmydtowa, prof. dr Franciszek Bielak, prof. dr Juliusz Nowak-Dłużewski i prof. dr Julian Krzyżanowski. Poniżej drukujemy prelekcję pierwszą.

Z o f i a   S z m y d t o w a

#### IGNACY CHRZANOWSKI

Profesor Chrzanowski rozwijał swoją główną specjalność na gruncie rozległej wiedzy humanistycznej. Miał w dorobku swym prace ściśle filologiczne, jak świetna monografia o Marcynie Bielskim. Nie został jednak badaczem w typie swego profesora Nehringa, którego zawsze wspominał z wielką wdzięcznością. Był głównie historykiem literatury polskiej, ale był także urodzonym pedagogiem i moralistą. Odegrał jedną z pierwszych ról w swoich czasach w propagowaniu na różnych poziomach wiedzy o literaturze. Dla szkół średnich stworzył nowy typ podręcznika związanego z wypisami. Współdziałał w powstaniu zasłużonego wydawnictwa "Sto lat Myśli Polskiej", wskławił się jako autor licznych broszur popularnych. Był też wytrawnym edytorem. Jego odczyty elektryzowały publiczność. Zawierały zawsze jakieś aluzje do aktualnej sytuacji kraju. Uderzały żywotnością poruszanych spraw, wzruszały, niepokoiły, niekiedy wprost prowoko-

wały, zwłaszcza gdy prelegent uderzał ostro w przejawy ugodo-  
wości.

W stylu niemcewiczowskim, a i przy pomocy cytatów z Niemce-  
wicza, atakował rządy zaborcze. Zawsze odwoływał się do pod-  
stawowych wartości, decydujących o zdrowiu i godności narodu.

Nie był fanatykiem jakiejś szkoły filozoficznej, czy jednej  
poetyki. Czuł się historykiem zbierającym skrzętnie dorobek  
twórczy wszystkich pokoleń. Dążył do tego, by w różnorodności  
rodzajów i form piśmienniczych ukazać "jedno niepodzielne ży-  
cie narodu"<sup>1</sup>. Pisał tak w r. 1906. Tę samą myśl wyraził po  
trzydziestu latach w słowach:

"Poezja skarbnymi swymi obdarza nie tylko zmysł este-  
tyczny, ale całą duszę ludzką, która będąc całością  
ocenia twórczość ducha i jej owoce ze stanowiska tej  
właśnie swojej całości, a nie tylko jednej swojej  
częstki".<sup>2</sup>

Nic dziwnego, że refleksje badacza pochodzące z głębokich  
przeżyć odznaczały się dynamizmem. Miały one inne jeszcze źród-  
ło. Sam na nie wskazał w sposób lakoniczny, a zarazem wymowny:  
"Wychowałem się wprawdzie w tradycjach romantyzmu, ale oddy-  
chałem już w młodości atmosferą pracy organicznej".<sup>3</sup> We wraź-  
liwej, ufającej życiu i człowiekowi naturze młodzieńca, wal-  
czące ze sobą kierunki zespoliły się w żywotną jedność. Każde-  
mu ze zmagających się ze sobą prądów gotów był odtąd przyzna-  
wać co mu się należało według przyjętych za naczelne kryteriów  
wartościowania. Z tej intencji zrodziła się zarówno rozprawa:  
"Jan Śniadecki jako nauczyciel narodu" jak "Chleb macierzysty  
Ody do młodości".

---

1. "Wiek XIX, Sto Lat Myśli Polskiej", Warszawa 1906, s.  
IX.

2. Z. Szmydtowa, "Ignacy Chrzanowski", "Ruch Literacki",  
1936.

3. Tamże.

Powołany na katedrę historii literatury polskiej przez Uniwersytet Jagielloński rozpoczął pracę dydaktyczną w roku 1910. Urodzony wychowawca i pedagog nie traktował zajęć uniwersyteckich jako uciążliwego dodatku do badań naukowych. Łatwo i po prostu zbliżał się do młodzieży. Nigdy nie miał powodu do narzekania na nią, bo nigdy mu nie brakowało wdzięcznych i oddanych słuchaczy. Nie żałował czasu na konsultacje, a czas normowały potrzeby studiujących. Nie narzucał własnego stanowiska, ale obserwował, doradzał, przestrzegał i korygował. Stosował się do umysłowości i zainteresowań ucznia. Starał się poznać każdego, aby w sposób właściwy pokierować pracą indywidualną. Nie naruszał samodzielności młodego badacza, ale gdy rzecz mogła ugrzęznąć w nadmiarze zebranego materiału czy w jałowych spekulacjach, odwoływał się do zdrowego rozsądku, do normalnej reakcji czytelniczej. Ukazywał praktyczną i techniczną stronę badań. Pilnował dbałości o język i styl, nikogo jednak nie zrażał i nie hamował. Czuwał dyskretnie nad przebiegiem badań, zawsze gotów służyć pomocą.

- Kiedy w roku 1911 zapisałam się na uniwersytet krakowski, ustaliła się już wśród młodzieży opinia, że Chrzanowski jest demokratą, liberałem, że jest życzliwy dla słuchaczy.

Zamierzałam zrazu studiować historię, polonistykę traktując jako przedmiot poboczny. Ten pierwotny zamysł pozwolił mi na uczestniczenie w świetnie prowadzonym przez Franciszka Bujaka proseminarium historycznym. Dzięki naukowo-dydaktycznemu przewodnictwu Bujaka, Tokarza i Kutrzeby zorientowałam się po pewnym czasie, że tzw. dokumenty historyczne nie są tym, za co chcą uchodzić, że wymagają krytycznej interpretacji dokonywanej przy pomocy innych świadectw, które z kolei są także z różnych względów niepewne. Jak się tu nie zgubić, jak wytrzymać w ciągłej nieufności, w nieustannej walce z pozorami. Pozdziwiałam, jak rozsypywał zawilżość dyplomacji Askenazy, ale im bardziej podziwiałam, tym mniej czułam się sama zdolna do takich osiągnięć.

W połowie niejako drogi od historii do literatury, na drugim roku studiów, dał mi Profesor temat pracy w następującym sformułowaniu: "System filozofii społecznej Kołłątaja na tle francuskiego Oświecenia". Przeczytałam dzieła Kołłątaja jak też innych pisarzy politycznych polskich, dokładnie przejrzałam rękopisy kołłątajowskie, znajdujące się w zbiorach PAU. W jednej z tek znalazłam w odpisie ręcznym słynną broszurę francuską wydaną tuż przed wybuchem rewolucji. O ile dobrze pamiętam, odpis nie zawierał nazwiska autora. Tytuł wszakże wskazywał na znakomitego publicystę i działacza politycznego Sieyes'a. Miał formę pytania: "Que ce que c'est le Tiers Etat?" Czytając broszurę, a następnie głośniejszych pisarzy francuskich, zapragnęłam uwzględnić wszystkich, których znał lub mógł znać Kołłątaj. W takich warunkach materiału coraz przybywało, a koniec pracy wciąż się oddalał. Zbliżał się moment krytyczny. A stało się to wtedy, gdy wciągnęłam się w badania nad Quenay'em i jego szkołą ze względu na wielki wpływ doktryny fizjokratycznej w kształtowaniu się francuskiego i polskiego Oświecenia. Biłam się z myślami. Zmienić temat na prostszy. Łatwiejszy, ale czy to z góry można wiedzieć, co będzie prostsze? Nie wiedziałam wtedy, że trudność polegała na niemożności zakreslenia granic, że nie mogłam się pogodzić wówczas z umownością tego, co nazywamy początkiem i końcem. W jakimś stopniu trudność tę po dziś dzień odczuwam. Wtedy nie potrafiłam sama znaleźć wyjścia z nadmiaru związków i skojarzeń. Postanowiłam odwołać się do pomocy Profesora. Dużo mnie kosztowało pójście na tę konsultację. Bo jak się tu tłumaczyć? Wzięłam ze sobą notatki. Na szczęście były przejrzyste i mogły mówić za mnie. Profesor przeglądał je cierpliwie, aż w pewnej chwili z właściwą sobie żywością złapał się za głowę i nie mogąc powstrzymać śmiechu zaczął mi tłumaczyć, że materiał jest w znacznej mierze uporządkowany, że najwyższy czas zabrać się do pisania. Widząc, że otrząsnęłam się z przygnębienia wrócił do notatek i

przejrzał je do końca. Po krótkim namyśle zaczął proponować eliminację rzeczy ubocznych, stanowczo zaś odradził dalsze studia nad fizjokratyzmem. Poczulałam ulgę. Poznałam wówczas umysłowość Profesora, którą po latach tak trafnie określiła w swych wspomnieniach Maria Dąbrowska jako trzeźwą i klarowną. Operacja, jakiej musiałam dokonać na obmyślonych już częściach pracy, nie była łatwa. Trzeba było przecinać żywe skojarzenia. Nie wątpiłam jednak ani wtedy, ani później o skuteczności tego zabiegu. Dzięki Profesorowi wybrnęłam z dużych trudności. Przyniosły mi ówczesne studia nad Oświeceniem poczucie, że ktoś musiał napisać "Krytykę czystego rozumu", że ktoś musiał stworzyć "Fausta". Tak otworzyła się przede mną droga do Romantyzmu. Na trzecim roku studiów Professor dał mi temat pracy doktorskiej: "Estetyka Mickiewicza". Miałam już sporo zebranego materiału, gdy wybuchła wojna. Po powrocie z okolic Krakowa pod front do Warszawy rozpoczęłam pracę pedagogiczną w prywatnych szkołach żeńskich, a w godzinach wolnych od zajęć szkolnych korzystałam z bogatego księgozbioru Biblioteki Krasieńskich.

Badanie pism Mickiewicza powstałych na emigracji wywołało samorzutne przesunięcie mojej uwagi na jego odejście od poezji, na tę służbę narodową, w którą wszedł po zetknięciu się z Towiańskim. Kiedy zdecydowałam się na zmianę tematu i powiedziałam o tym Profesorowi, nie wyraził ani zdziwienia, ani sprzeciwu. Wywnioskował z pierwszych moich słów, że to wojna, w której nasi żołnierze znaleźli się w walczących ze sobą armiach, pobudziła mnie do badania tamtej tragicznej formy patriotyzmu. Zapytał, czy nie brakuje mi jakich książek, polecił mnie Janowi Michalskiemu, z którego zbiorów wtedy i później korzystałam, dzięki temu właśnie poleceniu. Kiedy powiedziałam, że nie udało mi się jeszcze dotrzeć do korpusu dokumentów w wydaniu Tankreda Canonico, w kilkanaście dni później w Bibliotece Krasieńskich słynny w Warszawie woźny Wiktor Ziajowski po-

dał mi to wydanie oznajmiając, że jest to świeży dar, jakim profesor Chrzanowski powiększył zbiory Ordynata. Ta niespodziewana, a tak subtelna pomoc bardzo mnie wzruszyła. Kiedy podziękowałam za nią w liście, Profesor rzeoz zbagatelizował po swojemu, a gdy później w rozmowie zapytałam, skąd zdobył tak trudno dostępną książkę, odpowiedział z zagadkowym uśmiechem, że to jego sekret. Rękopis gotowej rozprawy przesałam przez okazję do Krakowa wczesną wiosną r. 1917. Dostałam odpowiedź, że mogę zdawać egzaminy doktorskie w lipcu, gdyż zaliczono mi rok studiów odbytych na Uniwersytecie Warszawskim. Po skończeniu zajęć szkolnych i uzyskaniu przepustki od niemieckich władz okupacyjnych na okresowy pobyt w Krakowie, znalazłam się w nim z początkiem lipca. Na dworcu ani jednego tragarza. Wątko, mizerne kobiety dźwigające walizy oficerskie. Na ulicach oddziałki posiwiiałych żołnierzy w drewniakach, kaleki, rekonwalescenci, wszędzie szpitale. Nie byłam przygotowana na to, co zobaczyłam. Pobory w takim stopniu nie dotknęły ówczesnej Warszawy. Kiedy szłam do Profesora, zdawało mi się, że mnie już zupełnie nie obchodzą egzaminy, że w tych warunkach są wprost niestosowne. Zaczęliśmy mówić o tych, którzy zginęli na froncie i o tych, którzy przepadali bez wieści. Profesor po pewnym czasie oderwał się z westchnieniem od tych ciężkich strat i skierował moją myśl na sprawy bieżące, nadając im ważność, koncentrując moją uwagę na czekających mnie dwóch komisyjnych egzaminach. Zakres obu trzeba było jeszcze ustalić i niejednego się douczyć. Wychodząc od Profesora miałam głębokie przeświadczenie, że to On swoimi słowami przywrócił wartość zadaniom, jakie mnie czekały. Kiedy wszystko odbyło się po - myślnie, Profesor zapytał mnie, jak odpowiem, gdy zada mi pytanie po łacinie zawarte w ślubowaniu doktorskim? Mimo że tekst umiałam na pamięć zapytana z nienacka wtrąciłam greckie "kai" zamiast łacińskiego spójnika, ku wielkiej uciezce pytającego.

W roku 1918 wyszły w serii prac doktorskich pod redakcją

Profesora cztery książki, a wśród nich moja. Korekty wszystkich tych prac Profesor doglądał osobiście, a za omyłki druku jeszcze nas przeproszał. Nic dziwnego, że z zakończeniem studiów nie kończyły się relacje między uczniami a Profesorem. Kiedy przyjeżdżał z odczytami do większych miast, dawni uczniowie witali Go jak upragnionego gościa. Dwie książki wydali ku Jego czci, jedną w Lublinie w r. 1926, drugą w Krakowie w 1936, nie licząc artykułów i wspomnień indywidualnych. W dwa lata później Uniwersytet Poznański ofiarował zasłużonemu badaczowi tytuł doktora honoris causa.

Atrakcyjność wykładów i odczytów Profesora była szeroko znana. Zostały utrwalone w druku. Ustny rozgłos miały Jego dowcipy i anegdoty, a że pamięć o nich się zaciera, warto je przypomnieć. Profesor miał dar ożywiania znanych dowcipów, stosując je zręcznie do zmienionej sytuacji. Posługiwał się świetnie mniej znanymi przysłowiami. Najciekawsze były jednak Jego oryginalne, improwizowane powiedzenia o niezwykłym nieraz rozmachu.

Ile razy przyjeżdżał do Warszawy, zawsze wpadał, choćby na krótko, do tzw. Gabinetu Filologicznego Korbuta. Kiedyś chyba w r. 1924, spotkał się tam ze swym starszym uniwersyteckim kolegą, znakomitym filologiem klasycznym, Michałem Rowińskim, którego skuszenie uważał za twórcę naukowej wersyfikacji polskiej. Niezmiernie też cenił go jako człowieka. Wywiązała się żywa rozmowa, a gdy w pewnym momencie Rowiński tłumaczył się jakiejś kwestii brakiem kompetencji, Chrzanowski podniósł głos i tonem karcącym zawołał: "Michale, nie udawaj idioty, bo nim nie jesteś". Smak tego dowcipu odczuliśmy wszyscy, wybuchając chóralnym śmiechem. Najgłośniejszym śmiał się tak ostro i finezyjnie skarcony za nadmierną skromność Rowiński. I on i my wypowiedź Chrzanowskiego przyjęliśmy jako spontaniczną, wywołaną daną rozmową. Były wszakże wypowiedzi zawnazę przygotowane i to nieraz w sposób bardzo pomysłowy. Jedna z nich stała się



punktem wyjścia do zabawnej scenki, której przebieg sam mi opowiedział. Podstawę stanowiło tu zaskoczenie. Przewidywania się sprawdziły. Reżyseria nie zawiodła. Oto wchodząc pewnego dnia z przybyłym do Krakowa Korbutem do biblioteki seminarium polonistycznego Profesor zapytał dyżurującą słuchaczkę: "Czy pani zna Korbuta?" Zapytana sądząc, że chodzi o sprawdzenie znajomości bibliografii, chciała przynieść Literaturę Polską. Skierowała się więc ku półce, na której stały dobrze znane jej tomy. Ale Chrzanowski zatrzymał ją w miejscu i powtórzył pytanie. Zdetonowana milczała, nie wiedząc, o co chodzi. Wtedy przedstawił jej stojącego obok mocno zażenowanego Korbuta we własnej osobie.

Od powstania Instytutu Literackiego Profesor uczestniczył co rok 29 czerwca na zebraniu Rady i Zarządu. Na stole leżały zawsze tego dnia nowe tomy publikacji periodycznych Instytutu: "Marchołta" i "Rocznik Literacki". W roku 1939 zabrakło "Marchołta". Jego redaktor, Stefan Kołaczkowski, zaangażował się w walkę polityczną, walcząc także o reformę polonistyki uniwersyteckiej. W kwartalniku z września-października 1938 r. zamieścił artykuł K. S. Frycza pt. "Narodowa idea zagranicznej polityki". Frycz nazywał aktualną politykę polską "marną grą dyplomatyczną", szydził z "marsowych oświadczeń", bez żadnej szansy wygrania. "Nasze poczynania zagraniczne - pisał - są prawdziwą oiuciubabką, gdzie dyplomacja polska wciąż biegając po omacku, nikogo złapać nie może".<sup>4</sup> Zeszyt zawierający ten artykuł był ostatnim zeszytem pisma. Na zebraniu Instytutu w roku 1939 Tadeusz Makowiecki przedstawił redagowany przez siebie kwartalnik pt. "Glossy". Miały one zastąpić "Marchołta". Mówiło się o dalszych planach wydawniczych, ale poczucie zagrożenia kraju nie sprzyjało żywej, swobodnej dyskusji. Żeby rozładować atmosferę, nasyconą troską i niepokojem, Profesor odezwał się nagle jakby od niechcienia: "Nie wiedziałem, że "Mar-

---

4. "Marchołta", 1938, Nr 1, s. 16,17.

oho!t" będzie czerwona płachta na byka, przepraszam, na Becka". Dzieliły nas wtedy tylko dwa miesiące od wybuchu wojny. Czuliśmy wszyscy jej bliskość. A przecież gra słów, żartobliwy ton wypowiedzi przyniosły pewne odprężenie.

Zawsze dążył Profesor do ożywienia innych, do budzenia wesołości. Skąd brał na to energię cierpiąc od młodości na bezsenność? Trudno było zrozumieć. To pewne, że z własnymi zgryzotami sam się rozprawiał, że nie chciał obarczać nikogo. Do niego w pełni można było zastosować ulubione przez Tadeusza Kotarbińskiego porównanie pedagoga do ogrodnika, który cieszy się rozwojem pielęgnowanych przez siebie roślin. Jego opiekuńczość wobec uczni miała w sobie coś z zaborczej dobroci. Ale jak się to działo, że i uczniowie i nie-uczniowie żywili dla Niego szczerą sympatię i wielkie zaufanie, niezależnie od swych poglądów czy przekonań światopoglądowych. Zamiast długiej listy osób, którą można by ułożyć, odwołam się do przykładów.

W czasie moich studiów uniwersyteckich statut wyższych uczelni Austro-Węgier, a więc i statut Uniwersytetu Jagiellońskiego nie dopuszczał na wszystkie wydziały kobiet. Profesor prawa przerwał kiedyś wykład, czekając aż zbłąkana zresztą przypadkiem słuchaczka opuści salę. Wyszła obrażona, rozgłaszając, gdzie się dało, że spotkał ją niezasłużony afront, bo nie miała wcale zamiaru słuchać zakazanego wykładu, a tylko zmyliła salę. Anonimowa wieść głosiła, że Chrzanowski bawił się tym zdarzeniem. Na pewno zaś, i to nie raz, oświadczał, iż podług niego wszystkie wydziały powinny być dostępne dla całej dobrze przygotowanej młodzieży.

Istniało wtedy na uniwersytecie krakowskim stowarzyszenie słuchaczek "Jedność". Sprawa przeniosła się na jego teren. W danym wypadku burzliwa nieraz "Jedność" okazała, że ma zgodne ze swoją naturą miano. Wyłoniono delegację, mającą przedłożyć posłowi do parlamentu wiedeńskiego, Ignacemu Daszyńskiemu, memoriał w sprawie przyjmowania kobiet na wszystkie wydziały wyż-

szych uczelni. Brzmiało to wtedy krańcowo i radykalnie. Politechniki zwłaszcza wydawały się wówczas raz na zawsze niedostępne dla kobiet. Uznaliśmy jednak, że trzeba postawić sprawę w sposób jak najbardziej ogólny. Wśród delegatek była socjaldemokratka pokładająca wielkie zaufanie w przedstawicielu tego stronnictwa. I coś się stało? Ona właśnie doznała największego zawodu. Poseł przyjął delegację niemal żartobliwie. Obiecywał w jakiejś stosownej chwili interwencję, ale niemal na odczepnego. Zawiedziona, chcąc go jakoś wytłumaczyć, uznała, że widać miał gęś za żonę i ona go tak usposobiła. Profesor Chrzanowski przez zdrowie myśli okazał się w naszej sprawie bardziej postępowy niż poseł Daszyński.

W innym wypadku działało zdrowie serca. To od Profesora, choć nie był on związany z formacją Legionów, dostał swój ekwipunek żołnierski Andrzej Cierniak, gdy szedł na front w szeregach Pierwszej Brygady.

Bliska i serdeczna była łączność między Profesorem a Gabrielem Korbutem. Mimo różny poglądów nigdy się ze sobą nie spierali. Łączyło ich mocne, nadrzędne umiłowanie kultury polskiej. Korbut jak ognia bał się subiektywizmu. Uważał swe oztrotomowe dzieło nie za bibliografię, ale za historię literatury. Wszystko poza faktami, które uwzględnił, uważał za subiektywne, a więc z natury swej niepewne, nie-naukowe. Tak surową regułę narzucił sobie ten wielbiciel poezji, kryjąc się ze swoją wrażliwością jak z grzechem. Ujawnienie jej byłoby w jego sumieniu jako badacza wykroczeniem przeciwko nauce. Rygor ten nie przeszkadzał mu z wielkim upodobaniem czytać pism Profesora, a z większym jeszcze z Nim rozmawiać.

Profesor przyjmował jako rzecz naturalną różnorodność natur ludzkich, a wskutek tego i kierunków, i form życia. Wobec ludzi zdolnych do ofiar i poświęceń żywił zawsze głęboki podziw. Nie we wszystkim zgadzał się z Kołaczkowskim, ale cenił go wysoko za jego troskę o kulturę polską. Zachował się wzruszający

i wymowny dokument tego uznania: fotografia, na niej Chrzanowski z Brücknerem, a pod nią ręką Chrzanowskiego napisana dedykacja: "Drogiemu Przyjacielowi, Stefanowi Kołaczkowskiemu - na pamiątkę dwaj starzy przyjaciele z błagalną prośbą, żeby nie podawał się do dymisji". Orientował się już wtedy Profesor w sytuacji, wiedział, że Kołaczkowski przegra kampanię o reformę polonistyki. Szło o to, żeby nie szedł się katedry na znak protestu, jak zapowiedział. Przywołał więc na pomoc nestora polonistyki i błagał. A nie był to frazes.

Kołaczkowski prowadził atak na wszystkich frontach. I mnie, jako redaktorze "Rocznika Literackiego", postawił w liście ultimatum. Z wielu ówczesnymi współpracownikami "Rocznika" nie chciał dalej razem pisać. Proponował innych, bojowych. Na wypadek odrzucenia swego ultimatum zapowiadał otwartą walkę. Nie mogłam się zgodzić. Do walki wprawdzie nie doszło, ale następnego sprawozdania już nie nadesłał. W rozmowach, w listach wyjaśniał, że chodzi mu wobec groźnego położenia kraju o skupienie energii, o koncentrację woli rozproszonych jednostek. Wierzył, że to zdoła zapobiec katastrofie. Zagradzał jej drogę sobą. Były to gesty Rejtana. Całą wielkość i nieugiętość Kołaczkowskiego ukazał Pigoń w swoich wspomnieniach ze straszniego miejsca, z obozu w Sachsenhausen. A przecież bez tego wstrząsającego, a zarazem majestatycznego finału, w zamęcie prób, w chaosie sporów z człowiekiem, którego nie zraziły pomylki Kołaczkowskiego, który po prostu i naturalnie rozpoznał w nim bohaterstwo i uczcił je, był profesor Chrzanowski. Nie wziął ani o pół tonu za wysoko, kiedy takiego człowieka błagał, żeby nie opuszczał katedry. Nie było to jedyne trafne rozpoznanie, ale chyba najpiękniejsze, dokonane na gorąco, wbrew wszystkim słusznym, ale drobnym racjom praktycznym.

Sam nie uważał siebie za znawcę ludzi. Bardziej ufał sądowi żony. Miał, jak każdy człowiek, swoje sympatie i antypatie, których tajemniczych źródeł nie zdołała dotąd wykryć psycholo-

gia. Bywał złośliwy, co łączyło się z upodobaniem w dowcipach. Wystarczyło jednak, aby kogoś dotknęło zmartwienie, nie mówiąc już o nieszczęściu, a złośliwość topniała we współczuciu. Cieszył się zawsze z możliwości pojednania. Zapominał uraz, a i sam łatwo przeproszał, gdy kogoś wskutek swej żywości dotknął. Z natury delikatny, lubił powiedzenia rubaszne. Niektóre przeznaczał tylko dla mężczyzn. Miał także osobne dla kobiet. Z wielką lubością wypowiadał zwłaszcza dwa przysłowia zwracające się przeciwko kobietom. Jedno głosiło prawdę ogólną w następującym sformułowaniu: "Choćby chłop jak żaba, zawsze lepszy niż baba". Drugie miało postać ubolewania o charakterze bardziej szczegółowym, zawierało przy tym rezygnację ze współzawodnictwa. Oto brzmienie drugiego przysłowia: "Kapusty nie przesieka, baby nie przeszczeka".

Kiedy się chce powiedzieć o konkretnym człowieku coś jemu tylko właściwego, widać całą nieprzydatność schematów, podziałów, etykiet. Staje się to oczywiste, jeżeli się zważy, co dzięki najnowszym badaniom wiemy o złożoności komórki. O ilez bardziej od niej złożony jest człowiek. A jak wyglądają badania nad nim? Definicje i refleksje dotyczą tylko pewnych właściwości dających się usystematyzować. Były i są wysuwane racje, że człowiek wyraża się przez swe dzieła, bo one zostają, gdy on odejdzie. Ale kim jest on jako żywa całość w procesie jednostkowego życia? Zdawało się, że odpowiedział na to pytanie Joyce w "Ulissesie". Przedstawił tu środkami właściwymi sztuce pisarskiej bieg życia wewnętrznego postaci, tętniącego nadmiarem, nawałem, wielością wszczynających się i rwących procesów. Poznawczą stroną swej powieści zaskoczył i oszołomił. Kiedy jednak znowu i znowu wraca się do niej, widzi się coraz wyraźniej że Joyce dokonał swego zadania nie przy pomocy jakiegoś mikroteleskopu. Postąpił inaczej. Oto włączył w organizm wywołanej przez siebie postaci, w delikatny bądź co bądź aparat odbiorczy pojedynczego człowieka nutrujące w społeczeństwie prądy, prądy

o wysokim napięciu. Wskutek tego wiele odkrył w zbiorowości, a jednostkę poddał okrutnemu w swej istocie zabiegowi. Przed takim postępowaniem cofnął się Goethe, gdy we właściwej chwili odwołał ze sceny Ducha Ziemi, żeby ten nie poraził Fausta. Nauka i sztuka zarówno dążą do typizacji, choć każda na innych sposób. Konkretny człowiek nie do nich należy, ale do życia. Promieniuje na świat, zostawia ślady w ludzkiej pamięci. W epoce gigantycznych eksperymentów nie oszabła, ale przeciwnie wzmożła się jeszcze potrzeba, którą w jakimś stopniu zaspakajają chyba tylko pamiętniki i wspomnienia. One bowiem pragną zbliżyć do autentycznych ludzi przez autentyczne szczegóły ich życia. To pamięć usiłuje wznowić, przywrócić świadomości i przeżyciu to, co niepowtarzalne, jednostkowe. A pamięć najrzetelniej o tym, co było widziane z bliska i odczute bezpośrednio.

Toteż o dziełach Profesora, które świadczą za siebie, mówię ogólnie, a szerzej o Jego pracy dydaktycznej, o Jego promieniowaniu na ludzi. I oto zaborcza dobroć Profesora dla uczniów świeci po tylu latach w mojej pamięci równie mocnym światłem, jak wtedy, gdy jej doznawałam. To, co należało do życia, sprawdza się znowu w żywym poczuciu nas żyjących.